

# 1 WILK

W maju nie mógł się doczekać wypłynięcia w rejs. W czerwcu znajdował wciąż nowe powody, byle jeszcze nie wyruszać. W lipcu dziwny niepokój wciąż nie pozwalał mu wypłynąć, chociaż Claire zaczęła coraz mocniej naciskać. Ostatecznie odbili od kei w Toronto na początku sierpnia, w ostatnim bezpiecznym terminie. Wilk miał jeszcze nadzieję, że na Atlantyku wiatry będą niekorzystne i spóźnią się, ale wiało równo, głównie z zachodu, więc przeskoczyli ocean gładko, na kilku halsach.

Po wejściu do Kanału Kilońskiego, gdy zwinął żagle i uruchomił silnik, przekładnia zaczęła podejrzanie drżeć. Zawsze dokładny i do bólu zapobiegliwy Wilk już w poprzednim rejsie słyszał dziwne szумы, ale zignorował je, nie wezwał mechanika, no i stało się. Milę od śluzy w Kilonii przekładnia ostatecznie odmówiła posłuszeństwa, ale jakimś cudem działał wsteczny bieg. Odwrócili czapeczki daszkami do tyłu i popłynęli rufą do przodu, wzbudzając śmiech na jachtach, które ich mijaly. Wilkowi nie było jednak tak wesoło. Nie tylko z tego powodu,

że trudno było kontrolować kurs. Poczul, że to płynięcie rufą do przodu, tak jak cały ten rejs, jest próbą oszukania maszyny czasu. Ta nigdy się nie psuła i pchała go zawsze w jednym kierunku, w przyszłość.

Przez służę zdążyli prześlizgnąć się przed zachodem słońca. Rano udało się znaleźć fachowca, który wyszperał gdzieś łożyska i prawie nowe koła zębate. Przekładnia była gotowa na wieczór. Gdyby zepsuła się wcześniej, w połowie kanału, nie starczyłoby trzech dni zapasu podróznego i spóźniłby się na pewno, ale po wejściu na Bałtyk dmuchało silnie z zachodu, prognoza pogody była stabilna i Wilk już wiedział, że zdąży na zjazd.

Na wysokości Kołobrzegu, gdy zmogła go senność, Claire zmieniła go i dzielnie stała za sterem aż do nasady Helu, ale i tak nie mógł zasnąć. Leżał z zamkniętymi oczami i widział dokładnie wszystko: Magdę, rodziców, siostrę, tajną drukarnię, esbeka, paczkę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów na dnie basenu jachtowego i załogę snującą nad Jeziorem Raduńskim Dolnym plany, z których żaden się nie spełnił. Kolejne sceny z dna pamięci wyświetlały mu się pod powiekami na zmianę z migawkami CNN i zdjęciami w gazetach, które przez kilka pierwszych lat po osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy Polska miała swoje pięć minut, zdawały raporty z rodzącego się w bólach kapitalizmu. Nikogo w Kanadzie nie bulwersował widok mięsa sprzedawanego na ulicach w rojach much. Relacje z Afryki pokazywały dużo gorsze rzeczy. Empatyczni sąsiedzi Wilka starali się to traktować ze zrozumieniem, by nie uznać przybyśsza z dzikiego kraju za niegodnego zaproszenia na *barbecue*. Starali się być przyjaźni, chociaż mało kto, z wyjątkiem kolegów żeglarzy, potrafiłby wskazać Polskę na mapie.

Po minięciu Helu Wilk otrząsnął się ze wspomnień, wstał z koi i wrócił na pokład. Z mocnej szóstki zrobiła się słaba czwórka, ale za to, jak na zamówienie, z nordwestu. Wiatr powoli skręcał w prawo. Wilk rozwinął całego kliwra i pod pełnymi żaglami sunął półwiatrem dobre pięć knotów prosto do celu. Na środku zatoki, pierwszy raz od Toronto, wiatr nagle zdechł, jakby przedwcześnie uznał, że zrobił już swoje i dał żeglarzowi czas, by wziął udział w codziennym misterium. Pierwszy raz obserwował je trzydzieści pięć lat wcześniej, gdy ojciec zabrał go na weekendowy rejs po zatoce, obudził przed świtem, wyciągnął w pizamce na pokład i pokazał fantastyczną sztuczkę – słońce wychodziło z wody zupełnie suche.

Po latach nic się nie zmieniło, chociaż każdy świt wyglądał inaczej. Tym razem wiatr ucichł zupełnie, jakby włączenie światła zatrzymało powietrze. Coś za coś. Może miało to coś wspólnego z zasadą zachowania energii. Wilk już dawno uznał, że życie, przynajmniej jego, jest grą o sumie zerowej. Inni mogli dostawać naraz i miłość, i pieniądze. Albo i zdrowie, i urodę. Jak jemu coś skapnęło, rachunek przychodził szybko.

Kiedy wpływali na polskie wody terytorialne, nie poczuł nic. Granica nie była zaznaczona zasiekami ani pasem zaoranej ziemi, więc przekroczył ją nie wiadomo kiedy, zajęty korektą kursu. To był Wilka sposób na pozbywanie się natrętnych myśli. Wypełniać solidnie swoje obowiązki. Morze zabierało całą uwagę, jak zgraja dzieci, którą trzeba bezpiecznie przeprowadzić na drugą stronę ruchliwej ulicy.

Miłę bliżej lądu, gdy było już jasne, że jacht jest na polskich wodach, Claire wciągnęła polską banderkę pod prawy saling grota. Potem wystawiła na rufie flagsztok z dużą banderą kanadyjską

i ściągnęła z bezana mniejszą, marszową, bardzo sfatygowaną tysiącami godzin żeglugi pod wiatr. Powoli zbliżali się do portu.

Kiedy bezan, grot, fok i kliwer oklapły, szesnaście ton jachtu sunęło tylko siłą bezwładności po wodzie gładkiej jak stół, którego brzeg obramowany był długim falochronem kilka mil dalej. Wilk widział już jego ciemną kreskę pod warstwą rzadkiej mgły, która przysłaniała miasto. Na redzie było prawie pusto, tylko naprzeciwko głównego wejścia do portu stał jeden kontenerowiec, ale już podpływały do niego holowniki. Gdy Wilk z niewielką pomocą Claire zrolował kliwer, słońce było już całe nad horyzontem. Zapowiadał się ładny dzień. Claire zajęła się fokiem, klarowaniem fałów i szotów. Wilk wziął się za grot i bezan, ale najpierw założył stoper na szturwał, by jacht nie zboczył z kursu, gdy nikt nie będzie stał za kołem sterowym. Kiedy żagle były sklarowane, zszedł pod pokład sprawdzić wyciek oleju pod silnikiem. Od Kilonii, gdzie włączał go ostatni raz, tłusta plama się nie powiększyła. Usunął wodę z odstojnika, podpompował paliwo i wrócił do mesy. Rzucił okiem na elektroniczną mapę z podejściem do portu jachtowego i wyłączył ją. Tak samo jak GPS, echosondę, log i radar. Chciał wejść do Gdyni tak jak kiedyś, bez tej całej elektroniki, która kawałek po kawałku odbierała żeglarzom wolność podejmowania decyzji.

Kiedy był już przygotowany do wejścia do portu, wstawił wodę na kawę. Zanim czajnik zaczął gwizdać, przełączył UKF na kanał dwunasty i zaczął sakramentalne nawoływanie:

– Marina Gdynia! Marina Gdynia! Marina Gdynia! *Sail yacht Crew is calling.*

Nikt nie odpowiedział. Spróbował na szesnastym, ale odezwał się tylko Kapitanat Portu Gdynia. Zalecał cierpliwie łapać

kontakt na dwunastym. Łatwiej poszło z kawą. Sypnął ziaren do ręcznego młynka i zaczął kręcić korbką. Mesę wypełnił wspaniały zapach stuprocentowej arabiki. Wilk nalał wrzątek do dwóch kubków, zgarnął jeszcze przenośną ukaefkę i wyszedł na pokład. Fały, szoty, cumy i odbijacze były już na swoich miejscach.

Claire stała przy kole sterowym i wpatrywała się w słońce. Wilk podał jej kawę.

– *What do you feel, Andrew?* – zapytała.

Wilk nie był do końca pewien, co czuje, ale Claire po jedenastu latach razem wiedziała, co myśli jej mąż, lepiej niż on sam. Była tylko ciekawa, czy przyzna, że się boi.

– Czuję, że od teraz powinniśmy mówić po polsku – powiedział.

– Jek sobije życiś.

Claire nawet nie starała się akcentować poprawnie. Chciała rozbawić Wilka, ale tym razem jej wymowa nie rozśmieszyła go. To, co w Kanadzie wydawało mu się zabawne, tutaj zabrzmiało jak tandetna parodia. Mówiąc po polsku żonę Wilk słyszał raz do roku, w Wigilię, w domu jej rodziców pod Toronto, gdzie zwykle spędzali święta i język starej ojczyzny był jedną z ozdób, jak szklana gwiazda na szczycie choinki, kolędy i sianko pod obrusem. Teraz nadchodził czas prawdziwego testu jej zdolności lingwistycznych.

Wypił następny łyk kawy i spróbował jeszcze raz porozumieć się z tubylcami po angielsku:

– Marina Gdynia! Marina Gdynia! Marina Gdynia! *Sail yacht Crew is calling.*

Ukaefka odezwała się natychmiast, jakby w marinie zorientowali się, że Wilk ma zamiar wpłynąć bez względu na to, czy się zgłoszą, czy nie.

– *Sail yacht Crew. Sail yacht Crew. This is Marina Gdynia.*

– Marina Gdynia. *This is sail yacht Crew.* Możemy mówić po polsku? – zapytał.

– *Crew.* Tu Marina Gdynia. Oczywiście – odpowiedział męski głos.

– Marina Gdynia. Dzień dobry. Stalowy kecz dwanaście sześćdziesiąt metra długości po pokładzie. Zanurzenie metr sześćdziesiąt. Płynę z Toronto. Dwie osoby. Znajdzie się miejsce?

– *Crew.* Wchodźcie. Stań na razie *longside* przy falochronie wschodnim. Resztę omówimy na miejsku.

– Marina Gdynia. Dziękuję. Za pół godziny w główkach.

Wilk dopił kawę, wyjął wiadro z bakisty, wyrzucił za burtę, wyciągnął dziesięć litrów bałtyckiej wody, rozebrał się do pasa i poprosił Claire, żeby na niego chlusnęła. Kiedy to zrobiła, obudzil się naprawdę. Pot z całego tygodnia spłynął po pokładzie do morza. Wilk poczuł, że jest gotów stawic czoło nowym wyzwaniom. Ogolił w łazience miesięczny zarost, włożył świeże ubranie, wrócił do kokpitu i odpalił silnik.

Stuczterdziestokonny yanmar zagadał. Wilk przesunął manetkę na małą naprzód. Dziewięćset obrotów wprawiło kadłub w lekkie drżenie. Przy tysiąc dwustu jacht doszedł do sześciu węzłów. Lustro wody przed dziobem zaczęło się marszczyć. Z porannych mgieł powoli wyłaniał się profil miasta, na razie czarno-biały, jak na zdjęciach Magdy sprzed dwudziestu lat, gdy płynęli stateczkiem wycieczkowym z Helu do Gdyni.

Ze schowka za kołem sterowym wyciągnął koniak i dwa kieliszki. Stuknęli się z Claire. Po jej minie zorientował się, że zaraz zacznie go o coś pytać, więc oddał jej ster i zszedł do mesy. Nie chciał patrzeć na zbliżający się falochron i wejście do portu jachtowego. Bał się, że mógłby nagle położyć ster lewo

na burt i zawrócić. W mesie wyjął z szafki papiery i paszporty. Zapakował to wszystko w foliową koszulkę, a potem poszedł do sypialenki na rufie i położył się na koi. Miał pięć minut, żeby odpocząć w pozycji leżącej, ale po dwóch zdał sobie sprawę, że o żadnym relaksie nie może być mowy. Wrócił na pokład. Byli mniej niż pół mili od wejścia do portu jachtowego. Gdy stanął obok Claire, bez słowa oddała mu ster.

– Odbijasz na prawa stronę?

– Tak. Odbijasz na prawą stronę – potwierdził wolno i wyraźnie.

Powoli, na czterystu obrotach, minęli zieloną latarnię na prawej główce wschodniego falochronu i majestatycznie wpłynęli do portu jachtowego. Jego widok trochę Wilka zaskoczył. W osiemdziesiątym szóstym nie było kilku pływających pomostów przy nabrzeżach klubowych. Teraz były i cumowały przy nich jachty wcale nie gorsze niż Crew. Wilk manewrował tak, by stanąć przy wschodnim nabrzeżu, jak polecił mu bosman przez radio.

Miejsce, w którym przed dwudziestoma czterema laty znalazł na dnie paczkę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów przeznaczonych dla podziemnej Solidarności, było teraz blisko końca najdłuższego pomostu, gdzieś pod dziobem przycumowanego tam dużego katamaranu. Pieniądze, które wtedy przekazał dalej, nigdy nie dotarły do adresata, ale zmieniły jego życie. Dla niego byłoby dużo lepiej, gdyby je zatrzymał.

Zacumował *longside* prawą burtą. Silnik przestał gadać i nagle zrobiło się zupełnie cicho. Załogi na innych jachtach jeszcze spały. Claire zabrała się do klarowania łódki, a Wilk poszedł z dokumentami zameldować się do bosmanatu, ale nie było go już w starym miejscu. Po kilku minutach znalazł biuro mariny

na zapleczu nabrzeża Młodych Żeglarzy. Kiedy wszedł, zobaczył za biurkiem drzemiącego Marcina. Poznał go od razu. To on przyjmował niewyrośniętego Andrzejka do klubu jachtowego. To on przemianował go na Wilka Morskiego, pokazywał, jak zakładać kapok, wiązać węzły, rzucać kotwicę i wybierać szoty. Wtedy wydawał się Wilkowi bardzo stary, chociaż miał tylko trzynaście lat więcej.

Marcin, obudzony stuknięciem drzwi, otworzył oczy, ale nie skojarzył w półmroku, kto wszedł do biura.

– Dzień dobry – przywitał się Wilk. – Jacht Crew.

– Witam, kapitanie. – Marcin wskazał krzesło i zapalił światło.  
– Jak rejs?

Wilk usiadł i spojrzał na odbicie swojej twarzy w szklanej gablocie za plecami Marcina. Wszyscy mówili, że się nie zmienił, że nie wygląda na swoje czterdzieści pięć lat. Jak to możliwe, że Marcin go nie rozpoznał?

– Atlantyk poszedł gładko, za to w kanale trzasnęła przekładnia. No ale w końcu jestem.

– Będzie ktoś na jachcie?

– Ja zaraz znikam. Żona trochę odeśni, a potem pójdzie w miasto. Słabo, ale mówi po polsku. Jakby coś się działo z jachtem, numer mojej komórki jest w ubezpieczeniu. Jeszcze nie wiem, ile dni postoiemy, ale pewnie coś koło dwóch tygodni. Mogę zapłacić za postój jutro?

– Jasne.

Wilk położył na biurku foliową koszulkę z dokumentami. Marcin zaczął szukać okularów, ale nie znalazł ich na biurku ani w szufladzie. Szpetnie zaklął, wstał i skserował wszystkie papiery, by wprowadzić dane później. Jego zainteresowanie



wzbudził tylko paszport. Oddalił go od swoich oczu na cały zasięg potężnego ramienia, jakby chciał rozciągnąć i wyprostować wytatuowane tam węże, przyjrzał się dokumentowi uważnie, próbował coś przeczytać, ale wciąż nie rozpoznawał Wilka. Dopiero kiedy otworzył kanadyjski patent kapitański, gdzie litery nazwiska były większe, nagle obudził się jeszcze raz.

– Andrzej Sakowicz?

– Tak.

Twarz Marcina stężała.

Nie musiał nic mówić. Wystarczyło, że włożył skserowane dokumenty do foliowej koszulki i podsunął je Wilkowi po biurku jednym palcem, jakby się nimi brzydził.

– *Welcome home*, Wilk – powiedział. – Wiesz, że masz tu przesrane?

Wilk nie zareagował. Wiedział, w co się pakuje, ale było jeszcze gorzej, niż przypuszczał. Już w Kanadzie dotarło do niego, że ma zszarganą opinię, ale miał nadzieję, że rozpowszechniła się tylko w małym kręgu zainteresowanych. Wyglądało jednak na to, że całe Trójmiasto nie może się doczekać, żeby okazać mu pogardę. Pierwszy człowiek, którego spotkał po zejściu na ląd, już to zrobił.

Nie zapytał Marcina, co słyszał i od kogo. Niektóre plotki znał, innych się domyślał i chociaż był ich ciekaw, nie chciał sobie następnymi sensacjami psuć dnia, w którym czekało na niego i tak wiele atrakcji.

Kiedy wrócił na jacht, Claire mościła już sobie koję, by trochę się przespać, zanim wyruszy w kraj ojczysty dziadków, Solidarności, Jana Pawła II oraz Maryli Rodowicz i Skaldów, których koncerty oglądała w polonijnym klubie. Gdyby zgodnie z planem przypląnę-

li w poniedziałek, mógłby być jej przewodnikiem. Przez spóźnienie musiała radzić sobie sama, ale nie bał się o nią. Miała doświadczenie nabyte w bardziej egzotycznych portach, gdzie dominował język migowy, a obowiązkowym wyposażeniem podręcznym kobiety wędrującej samotnie przez miasto był gaz pieprzowy.

Dziesięć po siódmej termometr wskazywał tylko dwanaście stopni. Wilkowi było trochę zimno, ale prognoza pogody na dzień była dobra. Miało być coraz cieplej. Powietrze stało, poranne chmury zniknęły, słońce zaczynało grzać, więc doszedł do wniosku, że obejdzie się bez kurtki. Zmienił buty na miejskie i włożył marynarkę. Do kieszeni wrzucił tylko komórkę i portfel. Oprócz kanadyjskiego paszportu zabrał dowód osobisty z zielonymi okładkami, pierwszy i jedyny, jaki wyrobił sobie w Polsce jeszcze jako osiemnastolatek. Był ciekaw, jak zareagowałyby na ten dokument policja. A jeszcze bardziej swojej reakcji na widok funkcjonariuszy.

Wyszedł z portu jachtowego na skwer Kościuszki i ruszył w kierunku centrum. Musiał gdzieś wymienić dolary kanadyjskie na złotówki. Mama pisała, że zawód cinkciarza już w Polsce wymarł i walutę można legalnie wymieniać w kantorach, ale zapomniał zapytać, gdzie się ulokowały. Na skwerze nie spotkał nikogo, kogo mógłby zapytać. Tylko dwoje biegaczy uprawiało poranny jogging, ale nie potrafili ich dogonić, nawet gdyby był w życiowej formie. Poszedł więc w kierunku ulicy Zygmuntowskiej, gdzie kiedyś był Pewex. Jeśli kantory chciały mieć klientów od pierwszego dnia po otwarciu, powinny rozlokować się tam, gdzie przez lata pojawiali się spragnieni zachodniej waluty, jak pustynne zwierzęta, które nigdy nie zapominają drogi do wodopoju i przekazują tę wiedzę w genach następnym pokoleniom.

Wilk miał parkan otaczający budowę jakiegoś pawilonu handlowego, gdy nagle zobaczył na nim twarz Bogdana. Uśmiechał się sympatycznie i dostojnie z plastikowego banera metr na dwa, przypięty linkami do słupków. W wyciągniętych dłoniach trzymał przed sobą opaskę z czarnego materiału, na którym wyszyta była złotą nitką siódemka, numer komitetu wyborczego Polskiej Partii Patriotycznej, z której ramienia kandydował na prezydenta, o czym informował napis na dole banera. Jego głowa była prawie łyśa. Trochę włosów zostało tylko nad uszami. Skórę miał idealnie gładką, jak u niemowlaka. Kiedy Wilk widział go ostatni raz, zmarszczki, przebarwienia i bruzdy na jego twarzy już zaczynały szukać dla siebie najlepszego miejsca, więc teraz musiał wyglądać zupełnie inaczej niż w osiemdziesiątym szóstym. Ale chyba nie tylko Photoshop odmienił Bogdana. Facet na zdjęciu to nie był już tylko zaradny chłopak, dbający o zapewnienie rodzinie pieniędzy na przetrwanie. Wtedy wziął na siebie tę przyziemną funkcję, bo czuł się w obowiązku zastąpić ojca, który nie wytrzymał presji stanu wojennego i zapił się na śmierć. Najwyraźniej Bogdan musiał w pewnym momencie poczuć, że wszystkie te trudne doświadczenia przygotowały go do o wiele ważniejszej roli. Wilk dostrzegł w jego twarzy coś biskupiego, jakiś rodzaj misji, która pozwala z pełnym przekonaniem mówić ludziom, jak mają żyć.

Może politycy po prostu muszą przechodzić podobną przemianę, ale trzeba było dziewiętnastu lat niewidzenia, żeby to zobaczyć? Może wszyscy, których tego dnia Wilk miał spotkać, zmienili się już w innych ludzi? Czytał gdzieś, że komórki wątroby człowieka wymieniają się co trzysta do pięciuset dni, komórki jelitowe co szesnaście lat. Za to komórki skóry co trzydzieści

dziewięć dni, a jelitowe komórki nabłonkowe co pięć. Nie było żadnego powodu, by wymienione komórki mózgu nie produkowały innych poglądów i pragnień, a wersja przeszłości, która była w nich zapisana, musiała odpowiadać pierwotnej.

Gdyby ćwierć wieku temu Wilk miał obstawiać, kto zwycięży w grze o sukces, to największą karierę wróżyłby Marcinowi, idolowi młodych żeglarzy. Ten jednak ugrzązł na obrzeżach prawdziwego życia, od dwudziestu pięciu lat w tym samym biurze maryny, bez żadnych pretensji do rządzenia czymkolwiek poza jachtami w basenie portowym. Być może za ten umiar należała mu się nagroda, nawet jeśli stały za nim tylko lenistwo i brak ambicji. A tymczasem triumfował Bogdan.

Wilk nigdy by nie pomyślał, że jego niedoszły szwagier może obudzić w sobie taką społeczną pasję. Ani żadną inną oprócz robienia pieniędzy. Kiedy Bogdan razem z resztą załogi remontował wspólny jacht, najmniej z całej szóstki marzył o tym, żeby na nim pływać, ale już wtedy rozsadzała go energia. Traktował żeglarską spółkę jako biznesową inwestycję. Im lepiej Wilk go poznawał, tym bardziej był pewien, że Bogdan nieźle sobie w życiu poradzi, będzie kiedyś bogaty i bardzo zajęty, ale nic więcej. Nie przewidział tego, że jego ambicje będą zupełnie inne. I że to one okażą się najważniejsze.

Nikt z pozostałej piątki nie osiągnął tyle co Bogdan. Nawet Wilk, który skończył w Polsce elitarne studia techniczne i uciekł z kraju w ruinie do ziemi obiecanej za oceanem. Kiedy wyjeżdżał, wyobrażał sobie, że w Kanadzie zacznie jakieś nowe, niezwykle życie i rozwinie skrzydła, ale raczej powoli je zwijał, szukając nie wiadomo czego na jeziorze Ontario, Atlantyku, Karaibach i wszędzie, gdzie dało się dopłynąć. Przez ten czas Bogdan, który nawet

nie zaczął żadnych studiów, osiągnął pozycję, która pozwalała mu kandydować na najwyższy urząd w państwie. Wilk zdał sobie sprawę, że przyплыnął do kraju, którego już nie rozumie. Dwa tygodnie postoj u mogły nie wystarczyć, żeby się zorientować, co tu się dzieje.